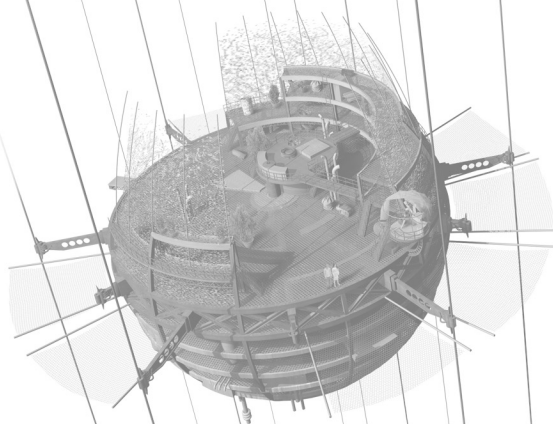


Vertical

Rafał
Kosik

Vertical



powergraph

Warszawa 2006

Copyright ©2006 by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Katarzyna Sienkiewicz-Kosik, Alicja Bobrowicz

Korekta: Danuta Podgórska

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt, ilustracje i okładka: Rafał Kosik

Wydanie pierwsze

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa

tel./fax (22) 631-4832, (22) 632-9155, (22) 535-0557

www.olesiejuk.pl / www.oramus.pl



Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.

ul. Cegłowska 16/2, 01-803 Warszawa

tel./fax: (22) 834 18 25, (22) 834 18 26

www.powergraph.pl

e-mail: powergraph@powergraph.pl

Druk i oprawa:

Opolgraf S.A.

ISBN 83-921466-4-6

Printed in Poland

dla S.L.

1. Pytania

Tego dnia, kiedy zginął Harsid, padał deszcz. Tęcza miała kształt idealnego okręgu, nim zniknęła w burych chmurach. Woda przeciekała na wylot przez wszystkie pokłady i moczyła moje posłanie, w miejscu gdzie nie starczało brezentu. W szarych strugach wody i podmuchach wiatru sieci falowały jak wielkie ażurowe skrzydła, wprawiając w delikatne bujanie całe miasto. Przesiedziałem kilka godzin w swoim kącie obok magazynu lin. Przez szczeliny krat nade mną widziałem pokład dowodzenia, skąd wydawano polecenia rozwinięcia kolejnych płacht do łapania wody, zamykania i otwierania zaworów przy zbiornikach, bądź zluźniania namokłych sieci. Nie licząc krzątający kilku ludzi, na czas deszczu miasto niemal zamierało.

Harsid wypadł za barierkę, albo sam wyskoczył. Musiało się tak stać, bo wielokrotne przeszukiwanie wszystkich pokładów nie dało rezultatu. Kiedyś w dole były sieci, które by go zatrzymały. Potem przeniesiono je wyżej, by zwiększyć połowy. Harsid był niespełna rozumu – tak mówili, ale ja wiedziałem swoje. Był mądry, może najmądrzejszy z nas wszystkich. Znał odpowiedzi na wiele pytań, a co ważniejsze, znał też wiele pytań, na które nie było odpowiedzi. Stary ogrodnik wprawił w ruch nieznanne trybiki w mojej głowie. Jego zniknięcie było dla mnie końcem prawdziwego dzieciństwa, a początkiem świadomego, dorosłego życia. To był impuls, który przestawił mój umysł na inny rodzaj pracy. Właśnie wtedy zrozumiałem, że nic nie jest

niezmienne. Wkrótce potem dotarło do mnie jeszcze to, że ja też kiedyś będę stary.

I że kiedyś umrę.

* * *

Gdy po kilku dniach wiatr rozwiał nieco chmury, wszyscy zgromadzili się przy barierkach, próbując wypatrzeć zmiany. W zasięgu wzroku jak zawsze było kilkadziesiąt niewykorzystanych lin. Niektóre wystarczająco blisko, by próbować ich dosięgnąć, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Sigg zaczął krzyczeć ze swojego małego, okrągłego pokładu, że na południu widzi wiązkę uformowaną na naszej wysokości, więc zapewne było tam inne miasto. Wszyscy z nadzieją wpatrywali się we wskazanym kierunku, a kapitan osobiście wdrapał się do obserwatorium, by sprawdzić tę wiadomość.

Od wielu miesięcy nie zbliżyliśmy się do żadnego miasta dość blisko, by móc rozpocząć Wymianę. Wysoko w górze i daleko pod nami widzieliśmy wiele czarnych kropek, ale były odległe o rok, albo i więcej.

Kapitan długo siedział w wielkim fotelu i wpatrywał się w okular teleskopu. W końcu wstał i oparł się silnymi dłońmi o barierkę. Był postawnym mężczyzną w sile wieku. Wiatr poruszał jego peleryną i czarnymi, przetykanymi siwizną włosami. Spojrzał z góry na wszystkich mieszkańców.

— Zobaczyłem miasto na południu — oznajmił. — Jest odległe o kilka miesięcy. Rozwińcie żagle.

Rozległy się wiwaty na cześć kapitana i obserwatora. W ciągu godziny na linach między pokładami i na dodatkowych masztach rozpięto kilka żagli. Północny wiatr popychał nas w stronę spotkania.

Wspiąłem się po krótkich schodkach do małego królestwa Sigga i przytknąłem oko do okularu teleskopu. Między chmurami zobaczyłem czarną kropkę i nieostre, szarawe pasmo ich wiązki. Sigg mruczał pod nosem, zapisując coś starannie w swojej wielkiej księdze. Wreszcie zamknął ją, założył okulary i odwrócił się do mnie. Pokażny brzuch utrudniał mu poruszanie się po ciasnym i zagraconym pokładzie obserwacyjnym.

— Oczywiście nie te — westchnął. — Widzę zaledwie nieostrą plamkę. Założę się, że ty potrafisz rozpoznać nawet jego kształt.

— Ma kształt prawie-kuli — przytknąłem. — Tak jak nasze.

Pamiętam, jak Sigg opowiadał, że kiedyś chciano przerobić jego przyrząd na coś bardziej pożytecznego, ale udowodnił, że teleskop się przydaje. Sigg był wyjątkowym człowiekiem, a jego pokład – wyjątkowym miejscem. Mimo to, nikt poza mną nie interesował się jego pracą. Uważano go za nieszkodliwego dziwaka. Gdyby nie to, że potrafił dostrzec inne miasto z odległości kilku lat, dawno zagoniono by go do innej pracy, a jego skarby wymieniono na pożywienie lub ziemię.

Wychyliłem się przez barierkę i spojrzałem w dół. Wystające poza obrys miasta mechanizmy były przytwierdzone solidnymi wspornikami pod głównym pokładem. Wolno przesuwają się w górę po linach, ciągnąc za sobą całą konstrukcję.

Cesenu podchodził kolejno do każdej z lin. Uderzał w nie i słuchał wibracji, słyszalnych tylko dla niego. Patrzył w górę, potem w dół. Obserwowałem jego poczynania. Chodził zwykle w specyficzny sposób: powoli, w ostatniej chwili wydłużając krok. Sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy się nie spieszy, ale i tak zawsze zdąża na czas. Cesenu miał czarne, kręcone włosy i lekko się garbił. Starzał się, to fakt, ale wciąż był niezastąpionym mechanikiem. Wiedział wszystko o napędach i mechanizmach miasta. Niewiele mówił. Nie odpowiadał na pytania, jeśli odpowiedź wymagała użycia kilku zdań. Mimo jego wszystkich dziwactw, szacunek okazywał mu nawet kapitan.

Wreszcie Cesenu poszedł do kapitana, poinformować go o wynikach swoich oględzin. Każdy inny wykrzyczałby nowiny na całe gardło, żeby podkreślić swoją rolę w społeczności. Ale nie on.

Pobiegłem na dół posłuchać. Jedna z lin mogła należeć do miasta znajdującego się o dwa lata drogi nad nami. Pozornie swobodne liny od zachodu przez dłuższy już czas nie zmieniały znacząco swego położenia, co mogło znaczyć, że są resztką ich wiązki. Nasze starania o przemieszczenie mogły kolidować z planami tych na górze. Korzystniej było więc odczepić tę linę i zastąpić za jakiś czas inną.

Nasze miasto wisiało na dziewięciu linach, a mieliśmy jeszcze dwa wolne napędy. Pozbycie się tej jednej liny nie powinno zachwiać równowagi. Kapitan ustalił, że wyczepienie nastąpi rano.

* * *

Rzadko bawiłem się z innymi dziećmi, a było ich w moim wieku pięcioro, może sześcioro, jeśli liczyć Nykę, który coraz chętniej przebywał w towarzystwie mężczyzn i traktował mnie z góry. Zawsze trzymałem się trochę z boku. Rówiesnicy dawali mi odczuć, że jestem inny. Sporo czasu przesiadywałem na brzegu pokładu i gapiałem się w Niebo, lub próbowałem zrozumieć, jak działa któryś z mechanizmów miasta. Zdarzało się, że w mojej głowie kłębiło się tyle pytań, że zapomniałem o świecie wokół. Tylko na nieliczne z nich potrafiłem znaleźć odpowiedzi, ale i tak nie wiedziałem, czy są prawdziwe. Ktoś inny musiał tu przesiadywać przede mną – w metalu, przy samej krawędzi wyryte były jakieś znaki. Nie wiedziałem, co oznaczają.

Drgnięcie pokładu i następujący po nim gong oznajmiły, że coś wpadło w sieci. Często zamyślałem się tak, że nie słyszałem, jak ktoś do mnie mówił. Gong jednak docierał do mnie zawsze. Zaczekałem, aż wyciągną zdobycz i wytaszczą ją na najbliższy pokład. Wtedy ruszyłem do pracy. Było to coś ciężkiego, bo lżejsze przedmioty sam zdejmowałem. Byłem sieciarzem – latałem sieci. Niemal zawsze po upadku ciężkiego przedmiotu pękało kilka oczek. Zdarzało się, że przedmiot przelatywał na wylot zostawiając po sobie poszarpaną dziurę większą od człowieka. Tym razem wyglądało na to, że nic się nie stało, ale i tak musiałem tam wejść i sprawdzić.

Przypiąłem linkę asekuracyjną i doszedłem do połowy długości poziomego masztu. Zeskoczyłem na sieć. Ugięła się podę mną i jak zwykle doznałem uczucia, jakbym spadał. Dziwne mrowienie gdzieś wewnątrz mięśni znów dało o sobie znać. Nie lubiłem mieć Nieba pod stopami, a jednocześnie pociągało mnie. Zawsze była jeszcze linka asekuracyjna... W kilku susach dotarłem do żółtej wstążki, którą oznaczono prawdopodobne miejsce upadku. Zgodnie z przewidywaniami nie było uszkodzeń. Położyłem się nad bezdenną przepaścią i zapatrzyłem w dół. Wolno bujałem się w wielkim hamaku, rozkoszując się uczuciem swobodnego spadania i tego podskórnego niepokoju, który nie dopuszczał do pełnego rozluźnienia. Bałem się tego, ale właśnie ten strach sprawiał, że było to przyjemne. Liny naszej wiązki robiły się coraz cieńsze i znikwały w błękitnym Niebie na granicy spojrzenia. Z mojego miejsca widziałem wyraźnie trzy miasta. Odwróciłem się na plecy. To samo – liny znikające w oddali, w beznimnym błękicie.

— Murk! Śpisz tam?

Murk to byłem ja. Nie spałem i nie miało to żadnego znaczenia, czy naprawię sieć teraz, czy za pięć minut. Nie miało znaczenia nawet to, że sieć nie jest uszkodzona. Chodziło o dyscyplinę. Zerwałem się i wróciłem na pokład.

Łatanie nie było wcale proste. Takie naprawienie sieci, by nie była w tym miejscu słabsza, ani mniej elastyczna, wymagało sprawnych rąk i doświadczenia. Łata powinna być taka sama jak każde inne miejsce. Należało zrobić to tak, by nie dało się potem odnaleźć śladu dziury. Bywało, że spędzałem na sieci pół dnia, niemal nie czując potem rąk.

Dwie z sieci miały większe oczka i grubsze linki. Były mocniejsze od pozostałych i miały inną budowę. Służyły do łapania najcięższych zdobyczy. Gdy coś uderzało w sieć, ta wyrывała mocowania i leciała w dół, ciągnąc za sobą elastyczne liny, które amortyzowały upadek. Tak zdobyliśmy jeden zapasowy napęd, który zwykłą sieć zamieniłby w niezdatną do naprawy płatanię frędzli. Oczywiście nie sposób było przewidzieć co, kiedy i gdzie upadnie – część potencjalnych zdobyczy musiała się wymknąć. Łapał je pewnie ktoś kilka lat niżej. Najmocniejsza sieć znajdowała się w górze, ponad miastem i zabezpieczała je, by nic nie spadło nam na głowy.

* * *

Noc. Gwiazdy w górze, gwiazdy w dole. Cisza, nie licząc poswistywania wiatru i cichych trzasków naciągów sieci. Pająk pod sufitem też rozpinał własną sieć, a ja nie zamierzałem mu przeszkadzać. Staruszek obok zaczął cicho pochrapywać. Większa część pokładów i ścian była wykonana z drobnych krat, bądź perforowanych blach. Przez małe otwory w ścianie oddzielającej nasze mieszkania wyraźnie widziałem jego siwe włosy. Przypomniął mi się stary Harsid. Wraz z nim odeszła część starej mądrości. Nie zdążył jej nikomu przekazać. Może nie miał komu.

Już nie mogłem zasnąć. Leżałem i patrzyłem na słabo jarzące się okrągłe lampy, wmontowane w elementy nośne. Same zapalały się o zmierzchu, a gasły rano. Rozpraszały mrok, ale pozwalały też spać. Wyszedłem z korytarzyka, w którym miałem swój kąt, potem wspiąłem się po schodach na główny pokład. Pusty, bez ludzi, wydawał się być ogromny.

Mężczyzna pełniący nocną straż na pokładzie dowodzenia pomachał do mnie z góry. Pozdrowiłem go dłonią i podeszedłem

do barierki. Mechanizm napędu mozolnie wciągał miasto po linie bez końca. Obserwowałem go przez kilka minut. Potem przeniosłem się pod Drzewo. W wielkiej, wielokrotnie łatanej donicy rosła największa i jedyna całkowicie nieprzydatna roślina. Rodziła tylko żołędzie – niesmaczne orzechy, choć podobno jedzono je w czasach głodu. Drzewo było bardzo stare, miało głęboko splekaną korę. Pewnie mogłoby urosnąć większe, gdyby jego korzeni nie ograniczała donica. I tak było wyższe nawet od dorosłego mężczyzny. Wszyscy lubili Drzewo, więc nie groziło mu przerobienie na opał.

Sigg siedział w swoim ogromnym fotelu i wpatrywał się w okular teleskopu. Konstrukcja z prętów i blach częściowo osłaniała jego królestwo i umożliwiała przykrycie go brezentem na wypadek deszczu. Starając się nie hałasować, wspiąłem się na jego pokład. Obserwator i tak od razu mnie usłyszał. Przesunął się, bym mógł usiąść na poręczy fotela. Przyłożyłem oko do teleskopu. Gwiazdy, widziane przez przyrząd, były tylko odrobinę jaśniejsze, ale wcale nie większe.

— Czy liny są przyłączone do tamtych gwiazd? — zapytałem.

— Nie. — Uśmiechnął się. — Gwiazdy się obracają, wszystkie razem, a my nie.

— Jakbyśmy siedzieli we wnętrzu kuli?

— Tak to wygląda. A może to my się obracamy, a gwiazdy stoją? Nigdy się nie dowiemy.

Gwiazdy migotały delikatnie w nocnym powietrzu. Patrzyłem na nie długo.

Nigdy się nie dowiemy.

— Kto zrobił nasze miasto? Wszystkie miasta?

Sigg zmarszczył brwi, a przynajmniej wydał ciche pufnięcie, które zawsze towarzyszyło zmarszczeniu brwi po kolejnym trudnym pytaniu.

— Pytałeś o to wiele razy.

— A supły na linach? Czy widziałeś kiedyś supel?

— To tylko legenda. Bajka dla niegrzecznych dzieci.

— A słońce, które pewnego razu zapłonęło w dole?

— Tak... jakby gdzieś komuś coś się pomyliło...

Sigg lubił mnie, nawet kiedy zadawałem dziwne pytania. Mówił, że go inspiruję, ale nie wiedziałem, co miał na myśli.

— A co się dzieje ze słońcem? Gaśnie co wieczór, a zapala się co rano. Kto to robi?

Siwa broda Sigga łaskotała mnie w kark, gdy w zamyśleniu kręcił głową.

— Jutro wyczepienie liny.

Powiedział to tak, jakby wszystkie inne rzeczy miały zblednąć i stracić wagę przy tym wydarzeniu.

Wiedziałem, że nie dowiem się już niczego więcej.

2. Wymiana

Było nas wszystkich razem około setki. Stałem z innymi na wyższych pokładach i obserwowałem napęd zachodniej liny.

Kilka głośnych uderzeń, krótki jęk dźwigarów i drgnięcie podłogi – konstrukcja zawsze reagowała na zmianę układu sił. Miasto przechyliło się ledwo wyczuwalnie. Regulatorowi zajmie chwilę przywrócenie poziomu.

Szczęki napędu rozwierały się powoli, a wszyscy patrzyli na to jak na niezwykle przedstawienie. Po minucie lina, z dziwnie cichym puknięciem, wysunęła się poza szczęki i odpłynęła powoli. Zaczepiła jeszcze o jeden z masztów, od którego na tę okazję odpięto sieć, i sama oddaliła się na zachód. Naprawdę musiała należeć do wiązki tych z góry, skoro zrobiła to tak szybko. Dobrze, że się jej pozbyliśmy.

Odprowadzałem linę wzrokiem, aż ktoś mnie potrącił i nie potrafiłem jej już odnaleźć. W jej miejsce za kilka godzin, może dni, trafi inna lina, współtworząc naszą wiązkę i po tygodniu nikt nie będzie o tym pamiętał.

— Lina to los.

Odwrociłem się, słysząc znajomy głos. Kapitan stał za mną i patrzył gdzieś w dal. Miał na sobie długą pelerynę – niepraktyczny, acz przydający majestatu atrybut. Nie wiem, czy mówił do mnie, ale i tak poczułem się wyróżniony. Znaczenie tego prostego stwierdzenia miałem zrozumieć dużo później.

Sigg wyliczył, że miasta szybko zbliżają się do siebie. W ciągu jednej doby pokonaliśmy kilka dni. Nie było pewności, czy cały manewr się powiedzie. Jeśli jeszcze któraś z lin naszej wiązki, kilka lat wyżej, poza granicą widoczności, należała do innego miasta, mogło się zdarzyć tak, że wykonamy tylko spore bujnięcie i wrócimy do poprzedniej pozycji. Nie było na to rady. Nie było nawet sposobu, by przekonać się, która lina nas trzyma na taką odległość. Pozostawało wierzyć, że mamy czystą wiązkę. Bardzo potrzebowaliśmy tej Wymiany. Wszyscy liczyli, że uda się nam dostać trochę ziemi. Wiedziałem już wtedy, że ziarenka ziemi powoli ulatywały z wiatrem. Nie pomagały żadne zasłony, ani przykrywki.

Zapytałem Yeresta, naszego nowego ogrodnika, skąd się bierze ziemia pod uprawy. Właściwie to znałem odpowiedź, nim jeszcze do niego poszedłem. Brzmiała ona w większości wypadków tak samo:

— Spada z Nieba.

Jakby się nie troszczyć o zielone tarasy, wznoszące się ponad górnymi pokładami, i tak ziemi z nich ubywało. Jeszcze gorzej było ze skrzynkami, w których wokół niższych pokładów rosły pnącza. Ogrodnik wbił łopatkę w doniczkę. Nie był tak dobry jak Harsid, to wiedziałem nawet ja, ale i tak był najlepszy z nas wszystkich.

— Inne miasta potrafią ją poławiać — powiedział. — My za to specjalizujemy się w cięższych przedmiotach, które tamtym drą sieci. Wymieniamy się potem.

Nie miało sensu tłumaczyć, że pytałem o to, skąd się wzięła ziemia, zanim spadła z Nieba. Chyba tylko Sigg był w stanie zrozumieć to pytanie, choć i on nie potrafił udzielić odpowiedzi. Zazwyczaj ludzie sądzili, że dokonali niebywałego odkrycia gdy wpadli na to, że wszystko co lądowało w naszych sieciach, musiało kiedyś wylecieć z miasta gdzieś nad nami. To wiedziałem od dawna, ale ja chciałem wiedzieć gdzie była ziemia, zanim trafiła do pierwszego z miast.

Gdy wiatr zmienił się na północny, Sigg oświadczył, że widzi żagle tamtych. Znać mogło to tylko tyle, że i im zależy na Wymianie. Ciężko było poznać z tej odległości, co chcieli wy-

mienić, ale rada starszych już na zapas denerwowała się o przebieg negocjacji.

Poszedłem do obserwatorium, popatrzeć na zbliżające się miasto. Miało nieco mniejsze ogrody od naszego, ale liczba i wielkość żagli była imponująca. Sigg powiedział, że to dobrze wróży, bo w taki sam materiał, rozciągnięty w poziomie, łapie się ziemię.

Podobnie jak nasze, tamto miasto miało kształt, przypominający nieregularnie wygryzioną od góry kulę. Nad pokład główny wystawało ledwie kilka węższych pokładów i tarasy z uprawami. Niżej zabudowa była zwarta, choć i tam w wielu miejscach na wylot przeświecało Niebo. Tamci zachowali pod spodem sieci, które mogły złapać nieszczęśników podobnych do starego Harsida.

Wiele razy chciałem zapytać naszego kapitana, dlaczego nie założymy takich zabezpieczeń, ale oczywiście nie uczyniłem tego. Myślałem za to wiele o tym, gdzie teraz jest Harsid. Zginął, czy wpadł bezpiecznie w czyjeś sieci? A może wciąż żyje, spadając?

Wolałem myśleć, że pielęgnuje czyjeś uprawy wiele lat niżej.

Podczas kilku ostatnich napraw sieci zauważyłem u siebie niepewność i nerwowość. Postanowiłem z tym walczyć. Nikt nie lubił ludzi, którzy bali się Nieba. Przynosili pecha.

Jak przez mgłę pamiętałem poprzednie Wymiany. Jako dziecko inaczej traktowałem czas i on inaczej traktował mnie. Miesiąc to była cała wieczność. Podczas ostatniej Wymiany siedziałem w swoim kącie. Raz tylko wdrapałem się na jeden z najwyższych pionowych masztów, by obejrzeć sobie drugie miasto. Chciałem, żeby jak najszybciej się odłączyli.

Pamiętałem cały proces. Trapy, wysunięte poza zasięg sieci, łączyły się ze sobą. Powstała w ten sposób kładka obracała się przegubowo w miejscach zetknięcia z pokładami, by nie dopuścić do uszkodzeń, gdy wiatr poruszał jednym z miast. To, że końce trapów pasowały do siebie było taką oczywistością, że nikt się nad tym nie zastanawiał, a przecież kiedyś istniał ktoś, jakiś... konstruktor, który ustalił choćby ich szerokość i rodzaj zaczepów. Czy tylko mnie męczyły takie myśli?

Minął jeszcze tydzień, nim tamto miasto zbliżyło się na tyle, bym mógł je obserwować bez pomocy teleskopu. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że było otoczone jedną wielką siecią. Maszty naciągały tę sieć, sięgając od dołu. To było dobre rozwiązanie

— wszystko łądowało w sieci i nic nie mogło uderzyć w maszt. Poniżej głównych sieci rozpięte były płachty grubego płótna. Poławiały ziemię.

Różnic musiało być więcej i nagle zapragnąłem wejść na ich pokłady i zobaczyć inne konstrukcje. Obawy z czasów poprzednich Wymian na razie nie dawały o sobie znać.

* * *

Sigg po raz pierwszy pokazał mi swoją księgę. Całkiem sporo arkuszy papieru spiętych, może sklejonych z jednej strony i umocowanych w sztywnych, oklejonych skórą okładkach. Księga. Miasto złowiło ją jeszcze przed moim urodzeniem. Kilkanaście pierwszych stron było zapisanych już wtedy, ale reszta, czysta, czekała na nowego właściciela. Sigg zapisał i zarysował prawie pięćdziesiąt kolejnych stron. Były tam szkice, schematy konstrukcyjne, jakieś wykresy, których nie rozumiałem. Były tabele, opisujące dzień po dniu odległości i położenie innych miast, stan pogody, fazy księżyca, imiona odchodzących i przychodzących. Kronika miasta.

— Po co to robisz? — zapytałem.

— Szukam prawidłowości.

Wszystkie tabele były oznaczone numerami dni. Sigg napisał kolejny numer.

— Dziś jest dzień 5349 — powiedział. — Numeruję je od momentu, gdy księga dostała się w moje ręce.

Pisał piórem, wykonanym z wydrążonego patyka, z jednej strony zakończonego zakrętką, z drugiej stalówką dociśniętą korkiem. Obie końcówki były obwiązane ściśle grubą nitką.

Potrafiłem czytać cyfry. Gorzej było ze składaniem ich w liczby. Liter nie znałem wcale.

— Co to znaczy? — wskazałem nagłówek tabelki.

— „Aristo”. To nazwa naszego miasta.

Nasze miasto miało nazwę. Nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

— Nikt jej nie używa — powiedziałem.

— Taki napis widnieje na podstawie regulatora. Jakoś musiałem oznaczać rysunki i tabele.

Pomysł nazywania naszego miasta wydał mi się odkrywczy, nawet jeśli nie było to do niczego przydatne.

— A inne miasta? Mają nazwy?

— Nie wiem. Ja nadaję im numery.

- Numery trudniej zapamiętać.
- I tak drugi raz nie spotka się tego samego miasta.
- Nigdy się to nie zdarzyło?
- Nigdy, odkąd pamiętam. Każde miasto wspina się z nieco inną prędkością. Z moich wyliczeń wynika, że w ogóle coraz rzadziej spotykamy inne miasta.

* * *

Stali, jak i my, przy relingach. Niektórzy machali do nas, my czasem machaliśmy do nich. Od jakiejś godziny dawało się poznać poszczególne postacie. Byli niżej od nas. Odniosłem dziwne wrażenie, jakby nasze miasto zwolniło, żeby tamci nas dogonili. Ale to przecież niemożliwe. Nie mieliśmy wpływu na prędkość wznoszenia.

Trzech mężczyzn skończyło naciąganie katapulty, mającej przerzucić do tamtych rzutkę z liną. Kapitan uznał, że jesteśmy dostatecznie blisko. Zwolniono katapultę. Jęknęła sprężyna i stalowa kula zawinięta w miękkie szmaty ze świstem pociągnęła cienką linkę wysoko ponad ich pokłady. Patrzyliśmy z napięciem na jej lot, aż znikła w oddali. Tylko ze zwoju ubywało liny.

— Pudło — zakomunikował z góry Sigg. — Bardziej w lewo.

Nie czekając na polecenie kapitana, nadzorujący ludzi Cesenu pociągnął dźwignię. Rozległ się schodzący z wysokich tonów wizg hamowanej liny. Znałem ten dźwięk, choć wcześniej nie wiedziałem, co go wydaje. Myślę, że w takich momentach, mimo uczucia zawodu, ludzie doceniali to, co robił Sigg. Odwinęła się przecież tylko połowa liny, a przed kolejnym strzałem trzeba ją było wciągnąć ręcznie.

Trzej mężczyźni z plecami błyszczącymi od potu już mozolnie wciągali linę, a czwarty układał ją równo na pokładzie. Trwało to na tyle długo, że część oczekujących ludzi zrezygnowało z oglądania.

Kolejny strzał i znów chybiony. Zniecierpliwieni ludzie wydali z siebie pomruk dezaprobaty. Po czwartym strzale zaczęli głośno komentować niezdarność Cesenu i jego podkomendnych. Zerkali też niechętnie w stronę obserwatora, jakby i on był winien. Ludzie zawsze szybko przyzwyczajają się do dobrych rzeczy i zapominają, jak było wcześniej. Ja wiedziałem, jak było wcześniej. Katapulta wpadła w najmocniejszą z naszych sieci już za mojego świadomego życia. Cesenu wyremontował ją i przystosował do wyrzucania liny. Bez katapulty koń-

cową fazę zbliżania można było przeprowadzić tylko skomplikowanym manewrowaniem żaglami. Tę metodę stosowały wszystkie napotkane dotychczas miasta, posługując się liną dopiero, gdy dawało się ją przerzucić ręcznie.

Katapulta jęknęła po raz piąty. Część ludzi z napięciem, część ze zniechęceniem obserwowała odwijającą się linę.

— Jest! — krzyknął Sigg.

Pobiegłem na górę i zobaczyłem przez teleskop, że nasz pocisk przeleciał nad miastem. Liny ich wiązki nie pozwolą już naszej lince zsunąć się na bok.

— Oby tylko wiedzieli, co z tym zrobić — mruknął obserwator.

Opowiadał mi, że kiedyś przywiązywaliśmy do końca cienkiej liny grubszą, którą tamci mieli wciągnąć, ale tylko raz trafiliśmy na takich, którzy od razu wiedzieli o co chodzi. Teraz wystrzeliliśmy od razu linę, mogącą wytrzymać przeciąganie. Oznaczało to niestety mniejszą precyzję w celowaniu.

Do liny przypadło kilkunastu mężczyzn i zaczęli ciągnąć. Tamci chyba zrozumieli o co chodzi, bo ciągnęli już ze swojej strony. Dopiero teraz widzieliśmy, w jakim tempie się zbliżamy: dziesięć pociągnięć ramion na minutę. Nikt już nie dbał o równe układanie liny; robi się to potem. Ci, dla których nie starczyło miejsca przy linie, dopingowali ciągnących.

Trzy dziewczyny siedziały pod Drzewem. Były pięknie wystrojone, szykowały się do odejścia. Pulchna Chloe już zaczynała chlipać. Przez trzy kolejne Wymiany nikt jej nie chciał. Teraz nawet nasi patrzyli na nią z niechęcią. Zdarzało się, że odchodzili i młodzi mężczyźni. Działo się tak jednak bardzo rzadko – za mężczyznę również trzeba było dużo zapłacić. Dziewczyny były znacznie tańsze, miały więc większą swobodę wyboru. Ludzi nie traktowano wcale jak towaru. Negocjowana cena była raczej rekompensatą za ich odejście z miasta, odejście zresztą dobrowolne. Najczęściej zdarzało się tak, że wymienialiśmy dziewczynę na inną. Harsid mówił kiedyś, że źle jest, jak rodzi się więcej niż jedno pokolenie bez wymiany kobiet. Teraz dopiero przyszło mi do głowy zapytać dlaczego. Mogłem zapytać Siggę, ale on interesował się innymi sprawami, głównie obserwacjami Nieba. Nie zapytałem więc.

Na pokładzie głównym, pod pokładem dowodzenia układano towary, które przeznaczaliśmy na wymianę. Trzech członków Rady naradzało się co do wartości poszczególnych przedmiotów i tego, na co chcemy je wymienić. Najbardziej zależało

nam na ziemi. Sigg też szykował się na Wymianę. Szperał w swoich kufrach i wynajdywał coraz to nowe, najmniej przydatne drobiazgi, których przeznaczenia nawet się nie domyślałem. Liczył chyba na to, że spotka kogoś podobnego sobie.

Mężczyźni przy linie zmienili się. Byłem jeszcze za młody, by im pomagać. Siedziałem na schodach prowadzących do obserwatorium. Kawalek materiału, niesiony podmuchem wiatru, nadlatywał od strony obcego miasta. Przyglądałem się jego dziwnym ruchom z rosnącym niepokojem. Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że wiatr wieje z innego kierunku, a szmata porusza się zbyt regularnie. Z przerażeniem zauważyłem, że to nie jest szmata! Brunatne coś, postrzępione z tyłu, z przodu ostro zakończone szpikulcem, poruszało się, jakby było żywe. Z przodu miało czarny, błyszczący guzik. Frędzle z tyłu tego czegoś poruszały się nieco sztywno. Przeszedł mnie dreszcz. Na dole też zapanowało spore poruszenie.

Dziwna rzecz okrążyła nas i podążyła z powrotem do obcego miasta.

— Sigg! Sigg! Co to było? — krzyczały z dołu dzieci.

— Ptak.

— Co to takiego?

— Zobaczycie.

Chciałem obejrzeć go przez teleskop, ale Sigg mi nie pozwolił. Wykonywał pospieszny szkic miasta i mruczał coś pod nosem. Zobaczyłem przez ramię, że narysował ptaki. Gdy kwadrans później miasta były oddalone od siebie o dwie szerokości, dostrzegłem kilka ptaków dostojnie szybujących wokół ich wiązki.

— Czy to jakieś mechanizmy? — zapytałem.

Obserwator zaśmiał się i zamknął swoją księgę.

— To zwierzęta — wyjaśnił, mierzwiąc mi włosy. — Takie jak szuczury, albo króliki.

Latające zwierzęta... Interesujące. Poszedłem na jeden z poładów ogrodniczych, gdzie nie było ludzi, by przyjrzeć się połączeniu i przemyśleć sprawę latających zwierząt.

Może ludzie też mogliby latać, gdyby skonstruować dla nich skrzydła? Ta nagła wizja porwała mnie natłokiem kolejnych pytań i pomysłów których nie nadażalem śledzić. Tak mało wiedziałem...

* * *